

— Ka wam do śmierci — ka ta!?

— O was, Marku — i żyd dodał — to ja się nie stracham...

— A pewnie, boście mi Szmulu, nie naraili nijakiej młódki na żonę, jak nieboszczykowi Walentemu...

— A czy to Szmul temu winien — wtrąciła Justycha — że się Walentemu ładnej dziewczki zachciało na starość, żeby go dojadła...

Żyd zachnął się, jakby niezadowolony:

— Co to gadać o takich brzydkich rzeczach... Umarł — to sobie umarł — a my nie umieramy, to nie potrzebujemy o śmierciach myśleć... Lepiej, napijmy się okowitki... Abramku, nalej dla Saganą kieliszek mocnej.

— Hej, nimos to jako las na syćkie biedy — westchnął stary góral, zbliżając się do szynkwasu.

Wypił wódkę i rzodkwią parękroć przegryzał, gdy Szmul przez ten czas usunął się z Justychą na bok, do alkierza, gdzie przez chwilę szeptali ze sobą:

— Kupiła mnie Justycha w mieście fosforu?

— Cobyk nie miała kupić — odparła baba, szukając w węzełku.

— Bo mnie już wyszedł tamten, a ja ciągle potrzebuję go na myszy...

— O, jest — i podała mu baba zawiniątko. — Możebyk ja co zaraz za to dostała?

Doler szybko schował do szafy drobną paczkę:

— Potem, potem... porachujemy się. Niech Justycha idzie napić się wódki i co przekąsić może...

Wrócili razem zaraz do szynkwasu, przy którym Sagan, właśnie po zakąsce, pocierał siarniczek, by sobie na nowo podpalić zagasłą fajeczkę.

— Dawaj no Abramku, okowitki i co tam masz do jedzenia — wołała na żydziaka Justycha. — A stary Sagan nie napije się ze mną do kompanji?

— Napiłbyk się z kumą ochotnie — odparł Sagan, poglądając ku drzwiom, przez które właśnie schodzili się różni ludzie do karczmy — cóż kie mi to nowiny żadnej nie powiecie... chociaż włóczyście się wiecznie od wsi do wsi... dziwaśka...

— Wej byłam i w mieście wczoraj — pochwaliła się włóczęga, przenosząc się z Saganem od szynkwasu do bocznego stołu, przy którym zasiadają też oboje do podanego przez Abramka, jadła i napitku.

Co chwila muszą komuś odpowiadać na powitanie; do karczmy bowiem zeszła się już gromadka starszych górali.

Zrobiło się też w izbie nieco gwarniej, bo nie tyle gazdowie, ile gaździny mełły ozorami, jak najęte — to i owo sobie opowiadając, jako że się wzajem niewidziały od niedzieli.